

Biblioteka  
U.M.K.  
Toruń

08307/2

08307/2

NR. 2

Cena 50 gr.

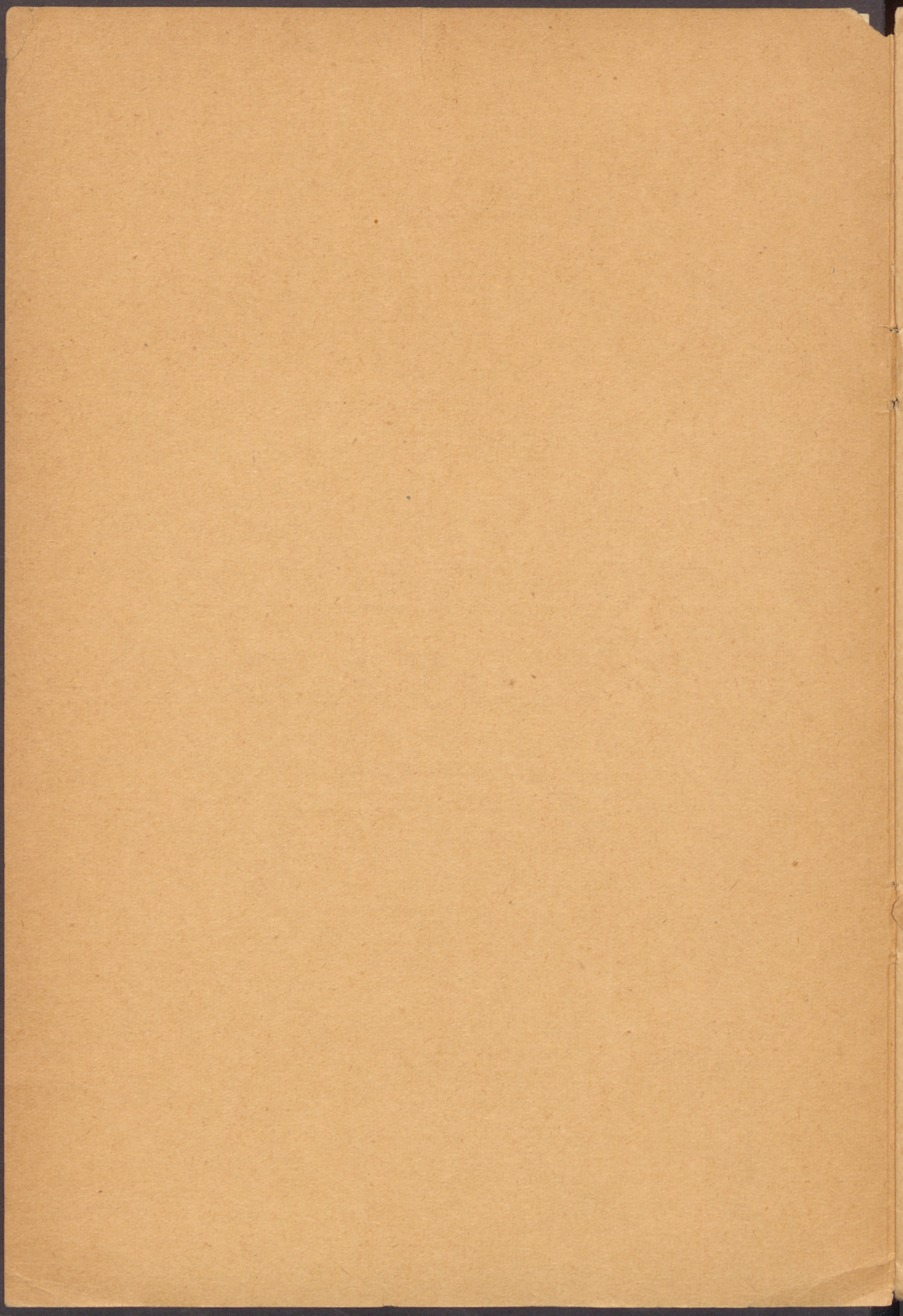
BIBLIOTECZKA  
CZASU

KS. KONSTANTY MICHALSKI

POCHODNIA  
GOREJĄCA

PRZEMOWA NAD TRUMNĄ  
K. H. ROSTWOROWSKIEGO  
DN. 7. II. 1938

WARSZAWA 1938



*dupl. do 0800 [2] j. m. m.  
18 IV. 50. y. p.*

NR. 2

Cena 50 gr.

**BIBLIOTECZKA  
CZASU**

KS. KONSTANTY MICHALSKI

**P O C H O D N I A  
G O R E J A C A**

PRZEMOWA NAD TRUMNA  
K. H. ROSTWOROWSKIEGO

DN. 7. II. 1938

W A R S Z A W A 1 9 3 8



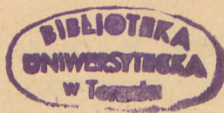
do 0800 [2]

14.7.50.

98

Wylaczone  
ze zbiorów  
BUW

44730



08307

S. A. Z. G. „Drukarnia Polska”, Warszawa, Szpitalna 12  
w dzierżawie Spółki Wydawniczej Czasopism, Sp. z o. o.

W. 1554/61

**B**YŁ POCHODNIĄ gorejącą i świecącą (św. Jan, V, 35), — powiedział Chrystus o swym heroldzie, o Janie Chrzcicielu, oświadczwszy wpierw, że nie był trzcina, co się ugina pod podmuchem wiatru, że nie był człowiekiem, co w miękkich chodzi szatach. Nie chcę brać Imienia Pańskiego nadaremnie, ale czujemy chyba wszyscy, że odchodzi od nas herold Boga na całą Polskę, czujemy, że nad jego trumną wolno z Chrystusem powiedzieć: był pochodnią gorejącą i świecącą. Odchodzi od nas wielki artysta, wielki dramaturg, wielki Polak, wielki człowiek i herold Boga: odchodzi ten, który się nigdy nie chwiał jak trzcina, ten, który głosem Bożego i zbiorowego sumienia mógł raz po raz zawołać na cały kraj: nie wolno.

To też trumnę Huberta Rostworowskiego poniesie dzisiaj w grubej żałobie na wieczny spoczynek cały naród, cały — i ci z góry i ci z dołu, — i ci z elity i ci z szarej, pracującej rzeszy, poniosą ją chyba w du-

chu ludzie spod wszystkich znaków i wszystkich sztandarów, bo zawiera zwłoki naszego wielkiego ducha i rycerza bez skazy, co do wszystkich przemawiał i w ten lub inny sposób do wszystkich należał.

Był pochodnią gorejącą i świecącą św. Jan, co szarpał za dzwon dziejów, by ogłosić przyjście Chrystusa, był pochodnią gorejącą Rostworowski, bo od polskich dzwonów nie odchodził, szarpiąc za nie raz na trwogę, drugi raz na triumf. Od siedmiu lat uderzał w dzwony dziejowe ze swego mieszkania, bo trawiła go gorączka z gruźlicą. Od 3-ch lat nie opuszczał już swego pokoju, a jednak, jako polski herold Boga, jeszcze czasem zadzwonił, jeszcze się odezwał, a wówczas słuchali go wszyscy, jako głosu publicznego sumienia. W piątek nad ranem pochodnia miała się dopalić. Gdy zjawił się gwałtowny krwotok z płuc, miał jeszcze tyle siły, że przeżegnał się wielkim krzyżem, powtarzając spokojnie: to koniec, to koniec. Wierzysz? — odez-

wała się jeszcze żona. Wierzę — odpowiedział. Kochasz Boga? — Kocham z całej duszy. Zgasła natychmiast świadomość choć biło jeszcze serce, jakby czekało na ostatnie, sakramentalne namaszczenie.

Już nam nie będzie szarpał za polski, dziejowy dzwon, a tylko krakowskie dzwony odezwią się w żalu i skardze i modlitwie, by za Zmarłym ponieść nasze wielkie, narodowe „Bóg zapłać“ za służbę dla kraju, za ojczysty chleb ducha, za piękno zaklęte w słowie, za pokrzepienie serca, za wychowanie naszej młodzieży, za to, że był heroldem naszym i Bożym.

Był gorejącą pochodnią, co się nasyciała płynnym paliwem życia, lecz zapalała się od wewnątrz, od iskier z kochającej duszy. Bywa u wielkich duchów tak, że nie wiadomo, co w nich przeważa, bo ciągle i zawsze wychodzą z własnych głębin, by zdobyć dla siebie więcej prawdy, więcej piękna więcej dobra. Postawił sobie kiedyś Karol Rostworowski pytanie, co by dał: głowę, czy serce, gdyby jedno z nich ofiarować musiał. Odpowiedział, że by dał głowę, — chociaż myśl uważał za kierownicę życia, której nigdy z rąk wypuszczać nie należy. Dusza Karola z biegiem lat coraz więcej się komplikowała, choć ponad wszystko górowała w niej dominanta religijna. To też trafi w samą głębię jego duszy, kto do niej podejdzie z góry, z dominanty, bo wówczas zobaczy, że trzy jej

najgłębsze aspiracje stapały się w jedną, przeogromną tęsknotę i miłość, taką, że rozsadzała kruche naczynie ciała. Żył potrójną tęsknotą i tą samą tęsknotą się zdierał, aż do śmierci. Kto u niego zechce oddzielać tę tęsknotę od tęsknoty, kto je wszystkie oderwie od dominanty, ten wcale w żywą duszę zajrzeć nie potrafi.

## I.

Był pochodnią gorejącą i świecącą. Kto go poznał w ostatnich latach jego życia, mógł sądzić, że tam zawsze było tak samo, że tam zawsze płonęła ta sama radość z posiadania prawdy. Było inaczej.

Dzieli się ludzi na takich, co się rodzą raz, i na takich, co się rodzą dwa i więcej razy. Rodzą się raz ci, którzy ideałów nigdy nie zmieniali, którzy od Boga nigdy nie odchodzili. Rodzą się dwa i więcej razy ci, którzy się od Boga oddalali i do Niego wracali. Karol Hubert w sali Kopernika U. J. wypowiedział się publicznie, ogłaszając zebranym tłumom, że przez 16 lat nie praktykował, że poprzez Kanta i Wundta doszedł do wielkiej, czarnej kropki, gdzie stanęła jego myśl religijna i już dalej ruszyć nie zdołała. Zagadnienie prawdy było dla niego sprawą życia, a nie myślową igraszką. Padł na ziemię w omdleniu, kiedy po raz pierwszy pod wpływem lektury i wykładów doszedł do wniosku, że można cały świat pojąć jako wielkie zja-

wisko, poza którym nie ma żadnej rzeczywistości. Myślał i dyskutował aż do zapamiętania, ale zawsze stawał przed wielką, czarną kropką, poza którą przedostać się nie umiał. Nie praktykował przez 16 lat, to pewna, chociaż i to pewna, że przez 16 lat czuł w sobie głód i pragnienie, że z religii nigdy nie szydził, że Chrystusowi nigdy nie bluźnił. Przyznawał, że przez 16 lat nie praktykował, ale też wyznawał, że wśród tej posuchy ducha, ani jednego pacierza nie opuścił. Znamy *Pascalowe Mystère de Jésus*, gdzie Chrystus, odzywa się do filozofa: ty byś Mnie nie szukał, gdybyś Mnie nie posiadał. Co w Pascalu było największe w czasie jego udręki duchowej, to pochodziło od Chrystusa, który w nim mieszkał i do niego przemawiał. Dokonują się w ludziach tajemnice Boże, o których małym głowom nigdy się nie śniło. Chyba jak do Pascala odzywał się przez 16 lat do Karola mieszkający w nim Chrystus: ty byś Mnie nie szukał, gdybyś Mnie nie posiadał. Szukał Jezusa u Renana i Harnacka, szukał Go u Strindberga i w całej literaturze skryptyzystycznej, szukał go wszędzie, — gdyż Chrystus w dziwny sposób do niego się odzywał: ty byś Mnie nie szukał, — gdybyś Mnie nie posiadał. — Przez 16 lat usiłował Karol wyjść z wewnętrznych mąk na szeroki szlak prawdy, chciał coś dojrzeć poza wielką, czarną kropką. Pracował.

Są dwa rodzaje nawrócenia: jedno nagłe, takie, co powala na ziemię każdego Szawła, — drugie takie, co się dokonuje powoli, kropla po kropli. Hubert przez 16 lat walczył w sobie o prawdę, przez 16 lat się nawracał: widział obok siebie w Czarakowych, — jakie szczęście dawała wiara rodzinie Pusłowskich, widział, ile dobroci i zrozumienia miała dla niego matka rodziny, widział, że nikt go nie gromił, kiedy on sam walczył. Walczył a równocześnie Jezus przez lat 16 odzywał się do niego: ty byś Mnie nie szukał, gdybyś Mnie nie posiadał. Tak że jemu jak św. Piotrowi w „*Quo Vadis*“ Chrystus z pośród mgieł zaczynał się coraz jaśniej i jaśniej wynurzać, zaczynał się do niego zbliżać, aż wreszcie Karol padł Mu do kolan, wołając krzykiem serca: dokąd pójdziemy, Panie, słowa żywota masz. O ostatniej chwili przeobrażenia nikomu nie opowiadał, jakby chciał Chrystusowi tajemnicy dotrzymać, ale wszyscy widzieli, że dokonał się w nim cud światła i ognia.

Kiedy tajemnicy duszy wyjawic się nie chce, a jednak pragnie się wyrazić jej wielkość, sięga się do pieśni, do muzyki i poezji. W Zygzakach „*Powrót*“ i „*Confiteor*“ wyrażają Karolowe *Mystère de Jésus*.

Odchyła nam się rąbek tajemnicy także w uwagach o Życiu Jezusa Mauriaca. Cieszył się, że książka wyszła przed trzema miesiącami, a na okładce jego

egzemplarza widniał już 75 tysięcy. Uznawał wysokie zalety „śmiałej książki”, a jednak oświadczył, że on woli książkę inną, żywot inny, napisany przez Mateusza, Marka, Łukasza i Jana.

Pisali o Jezusie Ewangeliści jak nikt inny, bo inni często pisali o sobie, a oni mówili tylko o Jezusie. Każde ich słowo stawało się ciałem i mieszkano między nami. Pisali inaczej niż inni także dlatego, że oni wychodzą z założenia nadprzyrodzoności, na które inni zamykają oczy aż do własnego osłepienia. Błędnie postępuje nawet Mauriac, ilekroć przymyka oczy na blaski drugiej Osoby Boskiej, by lepiej dostrzec Człowieka, bo ci, co widzieli Człowieka, — zwanego Jezusem, rozpięli Go na krzyżu, a tylko ci, którzy odrazu dojrżeli w Nim Mesjasza, rozpięli aureolę nad umęczoną jego głową. Najwięcej wagi przywiązywał Rostworowski do trzeciego założenia, kiedy przystępował do czytania ewangelii. Dla wierzącego katolika nie człowiek stał się Bogiem, lecz Bóg stał się człowiekiem. Kto więc rozpoczyna od człowieka, ten z trudnością dojdzie do Boga, kto zaś rozpoczyna od Boga, ten na pewno znajdzie wszędzie. Po 16 latach udreki wychodził Rostworowski zawsze od Boga i dlatego widział Chrystusa w blaskach drugiej Osoby Boskiej, widział Go na Taborze i zrywał się do walki z każdym, który

się odważył na Tabor podnieść swą rękę.

Powtarzał, że dla nas katolików Chrystus stał się najbliższym i najbardziej człowieczym pod postacią chleba i wina. Że o tym nigdy nie zapomniał, dowodzi jego mszałik, gdzie okładka odpadła całkiem od środka, a środek rozpadł się tak, że kartka nie trzyma się kartki: czytał tę książkę w żarze modlitwy wobec tajemnicy ołtarza. Czcił Chrystusa nade wszystko, więc się bał, czy nie dopuści się profanacji, jeżeli poprosi, by mu komunię św. do domu przyniesiono. Kiedy się zgódzono, kiedy w każdą sobotę przychodził do niego Chrystus, sobota stała się dlań dniem uroczystym w tygodniu. Jeszcze w wigilię śmierci prosił, by nie zapomniano o sobocie.

Dokonał się w duszy Rostworowskiego cud światła i ognia, by z niego zrodził się cud inny, cud ognistych języków. Ilekroć przemawiał, zdawało się, że nad jego głową unoszą się kolumny płomienistych języków z Wierczernika. Przez długie lata nie chciał wchodzić na mównicę, — wiedząc, że tam lęk chwyta go za gardło. Nadszedł jednak rok 1920, kiedy czerwone armie zaczęły zalewać naszą ziemię. — Zgłosił się wówczas do wojska, do służby. Odkomenderowano go do wojskowych szpitali i do koszar, by skarbnymi ducha pokrzepiał serca żołnierskie. Zimne poty występowały zrazu na niego, dopóki nie dojrzał, że



nad jego głową zapalają się ogniste języki, od których płonęły wszystkie jego myśli i uczucia. Już przetoczyła się czerwona nawała, a on jeszcze ciągle chodził od szpitala do szpitala, ze szpitala do sali Kopernika Un. Jag., do Sokoła, do sal robotniczych, wszędzie. Klaskały mu dłonie i serca całego Krakowa. Wołano go z całej Polski, by razem z nim święcić dzień zstąpienia ognistych języków. Klaskały mu dłonie i serca całego kraju, to prawda, lecz on sam się spalał, zaziębiał, targał razem z sercem chore swe płuca, opadając mierz z wyczerpania na fotel, na twardą ławę, gdzie bądź. Stał się pochodnią gorejącą i świecącą na całą naszą ziemię, pochodnią dla wszystkich.

## II.

Był pochodnią gorejącą, która się nasycala żywiołem życia, lecz zapalała się od iskier serca, pełnego miłości, prawdy i piękna. Odczuwał, jak przez jego duszę płynęła potęga żywiołu, ale miał od Boga dziwny dar przetwarzania żywiołu na piękno. Widział, jak strumień światła ciągle rwie naprzód a jednak rozumiał, że wszystko, co płynne można ująć w muzyczny rytm. Oczy jego rozszerzały się na widok świata i jego przemian, bo wchodziła mu do nich miłość piękna.

Uwielbiał piękno, dodając zawsze uwagę, że uwielbienie uskrzydla się przez wiarę, która tym wyżej podnosi człowieka w

świat ducha, im lepiej pracuje motor, zwany sercem i kierownica, zwana rozumem. Kto uwielbia wielkość i piękno, ten słucha głosu, który przemawia z siłą prawa natury. O zdrowiu psychicznym świadczy głód absolutu, o zdrowiu ducha świadczy pęd do ideału transcendentnego. Taki głód i pęd przeżywał ciągle Rostworowski i dlatego umiał uwielbiać piękno w Bogu i poza Bogiem, w całej Rzeczypospolitej i w każdej ludzkiej jednostce, na szczytach i na nizinach. Umiał się w uwielbieniu rozpalać jak pochodnia gorejąca, z której idą tęcze łuny poezji na cały kraj. Umiał uwielbiać, jak nikt w Polsce nie uwielbiał.

-Zajrzyjmy do dedykacji Zmartwychwstania, bo tam odzywa się echo silnej jak grom, echo wielkiej poezji mesjańskiej, echo, zrodzone z uwielbienia Polski. Uwielbiał ją, więc myślał, że powstanie jak Chrystus w białej jako śniegi szacie, a chociaż dostrzegł, że się oblekła w niezgodę od morza do morza, to przecież wierzył, że, odrodziwszy się, wnijdzie do serc naszych nawet drzwiami zamkniętymi.

Szukajmy podstawy do podziału jego twórczości na okresy, a zobaczymy, że nowy, rodzajny, wieszcz okres rozpoczął się u niego w chwili przeżycia *Mystère de Jésus*. Cokolwiek przed tym napisał, przynosiło mu gorycz i rozczarowanie. Pierwszy jego dramat skończył

się na scenie krakowskiej kłęską. Poszedł wtedy do Ludwika Solskiego, by go przeprosić, że wyrządził mu przykrość. Solski wziął go w ramiona jako dobry nauczyciel i przyjaciel, kojąc go zachętą: Napisz drugą sztukę, a znowu ci ją wystawie. Napisz drugi dramat i znowu poniosł klęskę. Kiedy przeproszał Solskiego po raz wtóry, usłyszał nową zachętę: Napisz trzecią sztukę, a na pewno znajdzie się na scenie krakowskiej. Napisz. Jednak między sztuką drugą a trzecią spełniła się w nim głęboka tajemnica religijna.

Na krakowskiej scenie zagrał Solski Judasza z Kariothu, zagrał go tak, że ludzie truchleli i klaskali, klaskali i truchleli. Szedł Judasz triumfalnie poprzez wszystkie polskie sceny. Przyszedł do Karola Chrystus nie na to, ażeby zabić jego geniusz poetycki, lecz na to, by rozwinąć barwne jego skrzydła, że się wzbił w swym locie do wyżyn, do których dotarli tylko wielcy nasi wieszczowie. On sam stał się dla nas wieszczem od dnia nawiedzin Chrystusa. To też Chrystus bliżej czy dalej zjawia się we wszystkich jego poematach.

Uwielbiając Jezusa jako Boga, nie wprowadził Go wprawdzie nigdy na scenę, lecz zawsze wprowadzał w bieg zdarzeń Jego tchnienie. Chrystus znajduje się nie tylko za drzwiami zamkniętymi Wieczernika w Judaszu z Kariothu, nietylko za

kamieniem grobowym w Miłosierdziu; On zjawia się wszędzie jako najwyższy sędzia sumienia ludzkiego. Od Kaliguli poprzez wszystkie poematy aż do Niespodzianki, do Przeprowadzki, do Mety nachyla się nad całą akcją niewidzialne oblicze Chrystusa i jako bolesny wyrzut padają Jego słowa: Mnieście uczynili.

Znając najgłębsze źródło natchnienia Rostworowskiego, nie darowano mu chwili spokoju. Ciągłe ktoś do niego pisał czy przychodził, by mu podsuwać tematy lub zapytać o wartość własnych rymów. Sądzone, że wystarczy do tekstu wprowadzić Częstochowę, by z niego zrobić wielką poezję. Miał Rostworowski wiele wyrozumiałości i wiele cierpliwości, bo wszystko czytał i z reguły odpowiadał: źle, źle i źle.

Sam firmy nie wystawiał, bo nosił Chrystusa w tabernakulum swego serca, a bał się panicznie tych, którzy chcieli wprowadzić Chrystusa na scenę, chociaż mieli pustkę w duszy. Nazwał artystę rezonatorem, który mając swój ton, zamyka się na tony inne, choć by brzmiały jak srebrne trąbki, jak archanielskie chóry, bo artysta musi przeżyć a nie tylko wiedzieć.

Chociaż pisał jak magnat z bogactwa swego geniuszu, to jednak do wrodzonych pięciu talentów dodawał coraz nowe piątki, pracując przy biurku od rana do wieczora, a czasem

także od wieczora do rana. Muzyka grała mu ciągle w uszach i w duszy i dlatego też muzyka musiała się odzywać w każdym jego wierszu, gdyż inaczej darł go bezlitośnie i palił. Zanim przystąpił do napisania Judasza, Kaliguli lub Czerwonego Marszu, przebadał sumiennie całe biblioteki książek, spalając się w codziennym, twardym trudzie, a nie tylko w ogniach natchnienia.

### III.

Był pochodnią gorejącą i świecącą. Skry padały ze serca, rozkochanego w prawdzie, w pięknie i dobru, ale paliwo szło z życia. Życie zaś wokoło huczało, że trwoga ogarniała ludzi. Huczało, tak huczało, bo wszędzie zjawiali się podpalacze świata przez płomień nienawiści. Rostworowski miał na to wszystko swoje chrześcijańskie poglądy i wchodził z nimi wszędzie, nie obawiając się żadnej bariery. Powtarzał, że się przejdzie przez każdy graniczny mur, jeżeli się ze sobą zabierze tłumok ofiarnej miłości.

Tyle wylało się krwi w Nie spodziance, tyle krwi synowskiej i bratniej, że sam Rostworowski się przerażał, bo z takiej krwi żadne szczołki podłogi nie wymyją. Rostworowskiemu chodziło o coś wielkiego, bo w jego oczach i myślach ściany wiejskiej chaty rosły, tak bardzo rosły, iż ogarniały sobą nasze wioski i miasta i całą Rzeczpospolitą, tak bardzo rosły, że zamknęły w sobie ca-

łą ludzką społeczność. Bał się o ziemię, jeżeliby dzisiaj na niej miała się rozpocząć bratobójcza rzeź, bo z bratniej krwi żadne szczołki nie wymyją podłogi świata czy ludzkiego sumienia. Nad każdą bratobójczą walką widzi Rostworowski natchylone oblicze Chrystusa i słyszy Jego słowa: Mnieście uczynili. Wielbił Chrystusa ponad miarę, wprowadzał wszędzie Jego niewidzialne oblicze, przy pominał zawsze Jego nakazy sprawiedliwości i miłości, chociaż Go na scenę nie wprowadzał.

Bał się w „Strasznych dzieciach” tych, co z lekkim sercem idą za każdą „fufą”, nie słysząc, że tam za ścianą życie huczy, przeraźliwie huczy. W Robociarzach buduje się dom, świata dom, a biada temu, co tak lub owak nie buduje, co przynajmniej nie podziwia, bo życie, twarde życie chce, by z wielkości wielką korzyść miało.

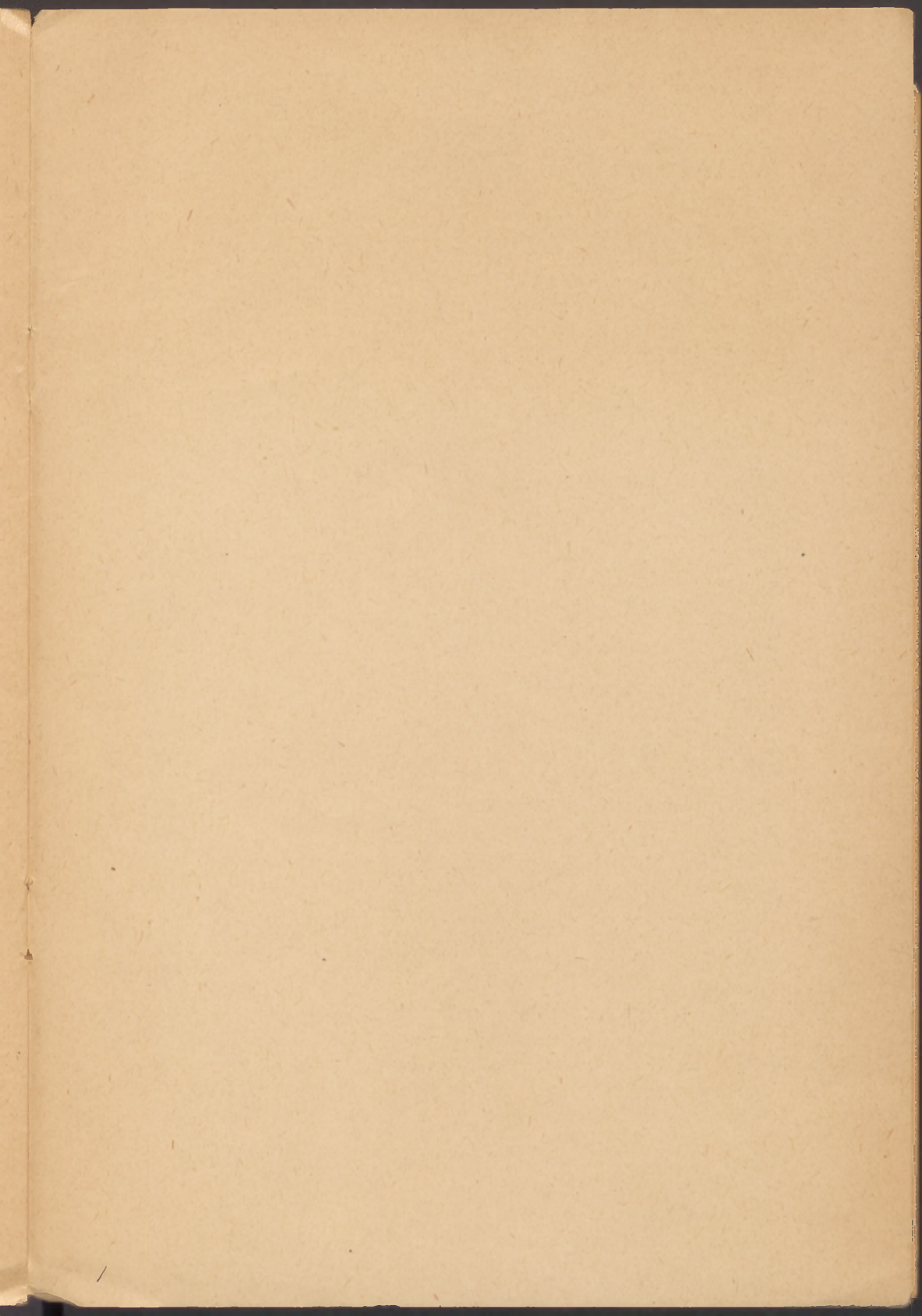
Był pochodnią gorejącą i świecącą nie tylko dlatego, że z życia brał płynne paliwo. Zdawało mu się w pewnej chwili, że nie można robić poezji z bolesnych zagadnień, że nie można społecznego cierpienia zamieniać na piękno, że nie wystarczy wołać i dzwonić na trwogę, gdyż inaczej usłyszysz się w sumieniu bolesny wyrzut: poeta. Nie, przez niego nie tylko płynął strumień miłości i życia, lecz on sam w pewnej chwili po bohatersku postanowił

własną istotę zamienić w płomień. Nie wiedzą ludzie, że poezję Rostworowskiego — uratował nam powstaniec z 1863 roku, co na krakowskich ulicach powłóczył za sobą kikut z żelazną rurą, zamiast protezy; nie wiedzą, że powstaniec ten miał na sobie ziemisty habit tercjarski i zamknął się w wydziedziczonymi w ponurej jak jaskinia ogrzewalni na Kazimierzu. Brat Albert uratował dla polskiej poezji Rostworowskiego, on, co dla „opuchlaków” odrzucił pędzle i sztalugi. Zanim Karol Hubert stanął przed ołtarzem, by zaprzysiąc swej żonie wiarę i miłość aż do śmierci, postanowił miłość i wiarę aż do śmierci zaprzysiąc krakowskiej nędzy pod kierunkiem Brata Alberta. Prosił Alberta listownie o przyjęcie, lecz Albert go nie przyjął, bo rozumiał, że kruche ciało nie wytrzyma twardej pracy, rozumiał jeszcze więcej, że Rostworowski był pochodnią, która dla nędzy ludzkiej miała się spalać inaczej, miała w gorejących rakietach obwieszczać, że żadne szczotki nie wymyją krwi z podłogi świata i ze sumień ludzkich, jeżeli bez wszelkiej maski na twarzy i sercu nie pójdzie

się do Chrystusa i w Jego imieniu nie powie się każdemu: bracie. Spalał się więc nadal Rostworowski jako pochodnia gorejąca, rozświecając huczące wokoło życie, szarpał raz po raz na trwogę za polskie dzwony, rozdawał w pięknie, w poematach swe serce i myśli.

Zgasła gorejąca pochodnia, zmarł Rostworowski, strawiony chorobą i żarem swych umiłowań. Już nam nie będzie dzwonił w chwilach wielkiej potrzeby narodowej. Pójdą za nim głosy naszych dzwonów i naszych serc na drugi już świat, by mu wypowiedzieć wielkie, narodowe „Bóg zapłać” za to, że nas karmił pięknem swego ducha, za to, że budził nasze sumienia, za to, że prowadził naszą młodzież na szczyty, że był heroldem Boga na naszej ziemi. Dziękujemy Jego czcigodnej małżonce i jego Rodzinnie, że nam go strzegła przez tyle lat. Pójdzie razem z nią za trumną Zmarłego cały naród, odprowadzi go na wieczny spoczynek polska wieś, by w ziemnej złożyc go mogile. Błogostawić mu będą na zawsze obecne i przyszłe pokolenia, że nam był wieszczem i heroldem od Boga.





Biblioteka Główna UMK



300020638263

